JESIENNE LOVE STORY ZE SZCZYPTĄ
KOMEDII ROMANTYCZNEJ I NUTĄ KARDAMONU

APARTAMENT pod Złotym Klonem

BARBARA KWINTA

LiRA
WYDAWNICTWO

APARTAMENT
pod Złotym Klonem

BARBARA KWINTA

APARTAMENT pod Złotym Klonem

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2025
ISBN: 978-83-68342-90-1

Duchy rzadko pojawiają się komuś, kto w nie nie wierzy, a jeśli już to robią, to rzadko są dostrzegane.

Stephen King,
Wszystko jest względne. 14 mrocznych opowieści

Pawłowi.
Na pamiątkę tego dnia, kiedy zgubiliśmy
parasol w indyjskiej knajpie.
KC

Wiecie, jak to jest, obudzić się w cudzym domu, w stroju sprzątaczki, obok nieznajomego faceta? Ja też nie wiedziałam. Aż do pewnego październikowego poranka, ale po kolei.
I to nie będzie taka historia, jak Wam się wydaje.

PROLOG

Wrzesień

— Tylko spójrz, Vincencie, jakie gołe drzewa.
— Uliczna pornografia.
— To przez wczorajszą wichurę.
— I ludzie jacy skuleni. Omotani szalami.
— Myślisz, że z zimna?
— Albo chcą się przytulić i nie mają do kogo.

1. Uliczne poezje

Wracamy z Targu Pietruszkowego. Ja i Vincent. Mój Vincent. Słońce świeci, jakby tej wczorajszej wichury wcale nie było. Na rynku chuderlak w kraciastej kamizelce rozkłada swoje stoisko. „Pieczone kasztany", czytam napis na drewnianej tabliczce. Z kościoła świętego Józefa wychodzą zakonnice z koszami chryzantem w rękach. Ciągnie się za nimi kwiatowo-kadzidlana woń. Idziemy na około. Przez Rękawkę i Taras Świętej Rodziny. No bo dokąd się spieszyć? Liście chrupią pod stopami jak ciastka w paszczy Ciasteczkowego Potwora. Ulice opustoszały, całe miasto dla nas, a do tego nie leje i nie wieje. Jesienny ewenement.

— Dopiero na emeryturze człowiek zaczyna dostrzegać szczegóły — mówię, gdy jesteśmy już na Zamoyskiego.

— Zjawisko paralaksy — popisuje się mój południowiec.

— To znaczy? — Wkładam dłonie w kieszenie tweedowego płaszcza.

— Obiekty blisko nas zdają się rozmywać, gdy pędzimy. Na przykład odrzutowcem na planetę Milion przed Trzydziestką.

Tylko my dwoje wiemy, dlaczego to ostatnie zdanie nas bawi. Ale nie tak jak wino. Raczej jak whisky.

Wykrzywia twarz, a po wypiciu jest gorzko, chociaż ciepło w brzuchu.

Vincent jak zwykle ma rację. Na emeryturze życiowe pendolino hamuje, obraz przestaje się rozmywać i widać wyraźniej. Tak jak teraz. Bosa stopa bobasa wystająca z wózka. Tatuaż z tygrysem na karku motorniczego. Kolczyk w nosie pani na poczcie. Serce narysowane na szybie brudnego volkswagena. Pieprzyki na własnym ramieniu. Plamki na źrenicy. Okładki książek pasażerów w autobusach. Ogłoszenia na betonowych słupach. Na przykład to:

„Wymienię słoik żołędzi na worek kasztanów, pilne". I podpis: „madka polka".

Albo: „Zakaz wywieszania ogłoszeń". Paradoks.

Ot, miejska poezja.

Codziennie odkrywamy z Vincentem coś nowego.

Tylko spójrzcie:

„Kocham cię mariola, myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem".

Kilka kroków dalej, na pasach w stronę Rynku Podgórskiego, następne, mniej romantyczne:

„Sprzedaj wszystko, schyłek blisko".

Za sklepem muzycznym Riff, na chodniku:

„Anarchia nas wyzwoli, rząd niech się odpierdoli".

I bez rymów, bo to Kraków, miasto prawdziwych artystów:

„Pamiętaj — ten kurz na butach, ten pyłek we włosach, ta nitka na swetrze to też kosmos". Moje ulubione.

— Prawda, że piękne? — pytam Vincenta.

Uśmiecha się. Bardziej lewą stroną. Maniera Mona Lisy…

A już specjalną półkę na regale z miejskimi poezjami zajmuje poezja deweloperska. „Lawendowa Oaza", „Sosnowa Enklawa", „Zakątek Przy Strumyku" czy „Apartamenty pod Złotym Klonem". To ostatnie brzmi jak trzygwiazdkowy dom pogodnej starości. A jednak, właśnie tak deweloperzy poeci, najpewniej odurzeni opium, nazywają osiedla, apartamentowce i odremontowane kamienice wciśnięte w miejską zabudowę. Jakby chcieli zaczarować świat. Hokus-pokus, niech w tym rzędzie betonowych klocków pojawi się Lawendowa Oaza! Czary-mary, niech na końcu szaroburej ulicy zabłysną Apartamenty pod Złotym Klonem. Zamoyskiego siedem. Oto i one.

Rozglądam się, a Vincent razem ze mną.

— Czy jest tu chociaż jakiś klon? — pytam.

— Tylko złoty liść nad drzwiami.

Dostrzegam błyszczące logo inwestycji nad wejściem. Strzepuję z butów liściową panierkę. Rozpinam płaszcz.

— Randka skończona. Do roboty. — Chwytam za zimną, śliską klamkę. Wciągam zapach remontu.

Nowej elewacji, świeżo ciętego drewna i kleju do glazury. Zostawiam za sobą woń dymu i benzyny. Odcinam uliczne szumy.

Wchodzimy do środka.

2. The Crumble

Witamy w Apartamentach pod Złotym Klonem, luksusowej inwestycji w klimatycznej dzielnicy Podgórze. Kwadrans pieszo do Wisły. Gdyby ktoś chciał skoczyć. Żeby uniknąć ślubu z Niemcem. Albo popływać. Lub nacieszyć nozdrza zapachem ścieków.

Kamienica przeszła w ubiegłym roku gruntowny remont. Wymieniono okna, drzwi, dach, fasadę, podłogi, ściany… właściwie wszystko. Pozostała tylko dusza. Stara dusza. Hokus-pokus i betonowy klocek zmienił się w apartamentowiec.

Piwnica, parter i sześć pięter w górę. Na parterze najmodniejsza knajpka dzielnicy — The Crumble. Przeszklona witryna, drewniane stoliki, wiklinowe klosze, duże żarówki, ciepłe światło. Na ścianach plakaty z beżową abstrakcją, przy oknach sansewierie. Drewno, poduchy, lada wyłożona zielonymi kafelkami. I tylko menadżerka zimna, jak mięso w chłodni. Ale o niej za chwilę.

Nie uwierzycie, ale w The Crumble można kupić crumble, czyli sezonowe owoce zapiekane pod kruszonką. Do tego dodatki. Kawę, herbatę, napary ziołowe i rogaliki z ciasta francuskiego, które wystarczy nazwać *Le Croissant*, polać czekoladą i posypać pistacjami, by ludzie płacili za nie pół pensji.

Od tygodnia hitem w The Crumble jest zestaw „Fall in Love". Zgrabna zagrywka słowna, biorąc pod uwagę, że *fall* to po angielsku również jesień. Zresztą „Upadku w miłość" nikt by raczej nie kupił. Choć czyż nie to właśnie robi się z miłością, Vincencie? Upada w nią? Jak w bagno.

W zestawie „Fall in Love" znajdziemy pistacjowy croissant lub śliwkowe crumble i napój do wyboru, w tym rozgrzewającą herbatę „Cynamon Bliss" lub kulturowy fenomen „Pumpkin Spice Latte". Świat oszalał na jego punkcie i tylko Włosi podobno na sam widok dostają palpitacji serca i wznoszą modły do świętego Kajetana. Patrona kofeiny.

— Pumpkin spice co? — pyta Vincent, jak boomer z księżyca. Albo Włoch.

— Kawa z mlekiem, dyniowym musem ze słoika, syropem klonowym, bitą śmietaną i przyprawą do piernika — tłumaczę.

Wiem, bo sama ją przyrządzam. Pracuję w The Crumble od trzech miesięcy, czyli od początku emerytury. Zaparzam jesienne herbatki z gałązką

rozmarynu, żurawiną, pomarańczą, goździkami, cynamonem i rzemieślniczym sokiem malinowym, próbuję złapać choć przelotny kontakt wzrokowy z klientami zapatrzonymi w telefony i uśmiecham się, tłumacząc, że mleko sojowe się skończyło, jest tylko owsiane. „Polecam zestaw kawa plus croissant. Czy wydrukować potwierdzenie? Klik. Dziękuję, do widzenia".

Po pracy w The Crumble sprzątam. I tu wracamy do zimnej jak mięso w chłodni menadżerki. Ma na imię Ela, ale codziennie ciężko pracuje na swój przydomek — Cruella. Marynarki ściśnięte w talii, tak, że miażdżą kiszki, spodnie w kant, prześwitujące przez nie, kończące się w połowie poślaków, rozmiar za małe figi, niskie czółenka — jedyny objaw czułości, na jaki sobie pozwala, włosy, w których próżno szukać odstających kosmyków. Prywatnie żona właściciela Apartamentów pod Złotym Klonem. Razem prowadzą też firmę sprzątającą „Wróżka Czyścioszka". Ot, dywersyfikacja dochodów, charakterystyczna cecha ludzi biznesu.

Zaraz po remoncie kamienicy, nazywanej apartamentowcem, bo wystarczy nazwać budynek apartamentowcem, przyczepić logo ze złotym liściem i już ma się plus dziesięć procent do każdego metra kwadratowego, szukali kogoś, kto codziennie umyje klatkę schodową i zapewni serwis sprzątający

mieszkańcom. A ja, jak to emerytka, potrzebowałam forsy.

Dlatego mam klucze do wejścia, do każdego mieszkania, a nawet do piwnicy i jestem ubrana w firmowy kombinezon z napisem „Wróżka Czyścioszka, serwis sprzątający". Odcień gumy balonowej to nie jest kolor, który noszę na co dzień, ale przywykłam do wkładania na siebie tego, co tylko wymyśli pracodawca. Bez dyskusji.

Otwieram drzwi do kantorka. Wyciągam wiadro z mopem. Pcham wózek pełen chemikaliów i innowacyjnych ściereczek z mikrofibry. Na ramię zawieszam torbę. Macham do Julki, z którą pracuję w The Crumble, i wchodzę do windy. Vincent ledwie się mieści.

Po drodze zgarniam reklamy nowej pizzerii. Mieszkańcy walczą z ulotkami jak przedszkola z wszawicą. „To niszczy planetę, zaśmieca teren, propaguje złe nawyki i my ręki do ulotkowej zarazy przykładać nie będziemy", powiedziała ostatnio ta z trzeciego piętra. Niunia. Tak na nią mówię. Vincent też.

Zgarniam ulotki i wrzucam do worka na śmieci przyczepionego do wózka. Jedną wsadzam do kieszeni kombinezonu. Jest tam kupon na frytki.

Winda zatrzymuje się na pierwszym piętrze. Poprawiam włosy upięte w koku na czubku głowy. Pukam do drzwi. Wpuszcza mnie Tyczka. Tak go nazwałam. Vincent też. Determinują go warunki.

Dwa metry wzrostu. W obwodach mniej niż ja. Mocniejszy podmuch jesiennego wiatru i Tyczka, jestem tego pewna, ląduje w kałuży.

Klasyczny przedstawiciel gatunku. Informatyk ze słuchawką przy uchu i skórą tak cienką, że widać żyłki. Jak na ilustracji dopływów Wisły i Odry w podręczniku. Tyczka wita się ze mną kiwnięciem głowy i wraca do biurka. Tłumaczy po angielsku komuś po drugiej stronie łącza, że to dziwne, bo u niego działa. Nakazuje reset systemu. Nachyla się przy ekranie, a ja staram się nie widzieć jego bokserek wyciągniętych pod żebra i luźnych sportowych gatek ledwie trzymających się tyłka.

Zaczynam od obchodu po osiemdziesięciu metrach kwadratowych. Zbieram rozrzucone koszulki, zgarniam stos pudełek po tajskim żarciu ustawiony przy wyjściu, wstawiam pranie. Nieużywana kuchnia wymaga tylko przetarcia kurzu. Układam w rzędzie kolekcję kubotów we wszystkich odcieniach granatu, od navy blue po indygo.

Gdy facet kończy rozmowę, włączam odkurzacz z funkcją mycia. Zakurzona podłoga odsłania teraz swój prawdziwy odcień drewna. Miodowy. Po dwóch godzinach żegnam się, wychodzę, biorę głęboki wdech i wydech, bo to dobre z neurobiologicznego punktu widzenia i świadczy o tym, że żyję. Wreszcie wjeżdżam na szóste piętro. Na poddasze.

3. Gawra

Niektórzy muszą szukać swojej gawry, a potem płacić za nią co miesiąc tyle, że zostaje tylko na pumpkin spice latte. Bez bitej śmietany. Inni dostają ją w spadku, bo — szczęście w nieszczęściu — babcia umarła i przepisała nam swoje em cztery. A nam się gawra przytrafiła. Jak porzucony w rowie szczeniak. Akurat gdy los włóczykija nam zbrzydł.

Od miesiąca sprzątałam już Apartamenty pod Złotym Klonem. Poniedziałek, wtorek, środa… Pierwsze piętro, drugie, trzecie, aż do szóstego.

I wtedy, w jeden z tych lipcowych dni, w które chcesz wcisnąć pauzę, bo jest dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, jesz lody poziomkowe ze Starowiślnej, jeżówki w kawiarnianych ogórkach pachną tak, że miękną nogi, a nad Wisłą serwują cierpkie piwo z sokiem malinowym, znaleźliśmy naszą kryjówkę. Trzygwiazdkowy dom pogodnej starości na szóstym piętrze pod Złotym Klonem.

Przestrzeń wykończona w stylu japandi. Top trendów wnętrzarskich Pinteresta. Teleport do japońskiego domu w lesie. Jesionowe drewno, lniane zasłony, kamienna wyspa kuchenna, ratanowe fotele, lampy z papieru ryżowego, niski stolik kawowy, ceramiczne kubki w szafkach, kanapa bardziej miękka niż futro misia z reklamy płynu Coccolino.

Wszystko to w dwudziestowiecznej kamienicy po gruntownym remoncie. Jakby mistrz zen wpadł do polskiej babci na pierogi. I tylko właściciele mieszkania jak podstawieni.

Tego dnia wyjeżdżali właśnie na pół roku do Australii. Może na dłużej, zobaczą. Małżeństwo z dwójką dzieci. Facet rozkręca tam filię kliniki stomatologicznej „Perłowa Pełnia".

— Biznes is biznes. Wie pani, jak sam nie dopilnuję, firma się rozkraczy, zanim wstanie — wytłumaczył właściciel, pakując do walizki płetwy. Koszulka polo, mokasyny bez skarpetek, apple watch na nadgarstku. Żadnego kimona. — Ale niech pani sprząta co tydzień, zgodnie z umową. I wietrzy. Żebyśmy nie wrócili potem do kłębów kurzu i pleśni na ścianie. Po remoncie czy nie, ta kamienica to stare próchno, a za projekt i wykończenie zapłaciłem tyle… Nie chce pani nawet wiedzieć ile.

Nie chciałam. Skinęłam głową jak tchórz, chociaż trzeba było stanąć w obronie stuletniego budynku o smukłych liniach i wielkich oknach. Powiedzieć coś w stylu: „Stare próchno? Te mury mają więcej klasy niż pan i te całe mokasyny ze złotymi klamerkami", ale mając w głowie normy społeczne, trudno zawsze mówić to, co się myśli, więc zagryza się zęby na języku i nie daj boże jeszcze kiwa głową, jakby się zgadzało, a później przez tydzień przed snem

odtwarza tę scenę, ale tak, żeby rozmówcy poszło w pięty.

Koszulka Polo pogonił dzieci, uśmiechnął się do żony swoją perłową pełnią i cała czwórka zjechała windą na parking. Spojrzałam na Vincenta, on na mnie, wtedy ja na klucze do drzwi.

— Wchodzimy? — spytał.

Posprzątałam, zgodnie z umową, jak co piątek, a potem się wprowadziliśmy. Osiemdziesiąt metrów kwadratowych to dużo. Jak dla naszej dwójki, zbyt dużo. Ale czy wypadało wybrzydzać? To tak, jakby dostać tort i grymasić, że chciało się tylko wisienkę.

Niedźwiedzie po znalezieniu gawry wyścielają ją mchem, trawą i liśćmi. Gdy schron jest gotowy, zapadają w stan hibernacji. Inspirowana naturą wsadziłam do szafy ciuchy Vincenta i moje. Przy lustrze w łazience ustawiłam szczoteczkę, pastę, jego perfumy, moje. Pod prysznicem szampony, mydło i peeling. Schron był gotowy.

Od tej pory co wieczór hibernujemy. Co innego robić jesienią? Wkładamy warstwy. Wełniane skarpetki, bluzy i mięsiste swetry, bo ciągle psuje się ogrzewanie. Miażdżymy skorupki orzechów włoskich, jeszcze świeżych. Tych gorzkich, soczystych i mlecznych, które barwią palce na żółto i wykrzywiają twarze w trakcie jedzenia.